

SIMON SHUSTER

SHOWMAN

WOŁODYMYR ZEŁENSKI

I INWAZJA, KTÓRA UCZYNIŁA GO PRZYWÓDCĄ

PRZEŁOŻYŁY
AGNIESZKA MYŚLIWY
EWA SKÓRSKA
JOANNA K. RADOSZ

MARGINESY

The Showman

COPYRIGHT © 2024 BY Simon Shuster

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Myśliwy, Ewa Skórska,
Joanna K. Radosz

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2024

2

CEL

O jedenastej dwadzieścia w dzień pełnoskalowej inwazji Zełenski w otoczeniu ochroniarzy zszedł na parter kancelarii, gdzie w pozabawionym okien pomieszczeniu prasowym zebrała się już grupa reporterów. Prezydent nadal miał na sobie garnitur i koszulę z kołnierzykiem, ale jego przesłanie ewoluowało w tych pierwszych godzinach po ataku. Kiedy stanął na mównicy, Ukraińcy nie zobaczyli już napiętego i nieco protekcyjnego uśmiechu przywódcy wzywającego ich do zachowania spokoju, pozostania w domu i oczekiwania na dalsze instrukcje. Teraz Zełenski wezwał obywateli, by powstali i włączyli się do walki na wszelkie możliwe sposoby. Weterani mieli się zgłosić do komisji poborowych, by się niezwłocznie zaciągnąć. Każda osoba o zdrowiu pozwalającym na oddanie krwi powinna się udać do okolicznego szpitala. Każda osoba, która chciałaby pozyskać broń, mogła ruszyć do jednego z punktów dystrybucyjnych rozsianych po mieście.

– Już rozdajemy broń i wręczymy ją każdemu, kto pragnie bronić naszego kraju. – Nawet zgromadzeni dziennikarze nie zostali wyłączeni z tego pospolitego ruszenia. Napływ rosyjskiej propagandy zintensyfikował się z początkiem inwazji, fałszywe doniesienia o upadku rządu szerzyły się w mediach społecznościowych. Zełenski chciał, by każde medium w Ukrainie pomogło mu toczyć wojnę informacyjną i „mobilizować ducha walki”. – Publikujcie wiadomości o tym, jak

dzielnie walczą nasi żołnierze – nakazał z mównicy. – Oni potrzebują wsparcia naszych obywateli.

Kilka minut po zakończeniu briefingu prasowego znów rozległy się syreny przeciwlotnicze. Zawodziły w Kijowie od świtu, a personel kancelarii ignorował je przez cały ranek. Tym razem było inaczej. Około południa ochrona prezydenta otrzymała ostrzeżenie o ataku z powietrza na Bankową i funkcjonariusze rozpieczęśli się po budynku, aby rozpocząć ewakuację¹. Ochroniarze Zełenskigo poinformowali go, że pora zejść do bunkra.

Prezydent zwiedził bunkier dwa lata wcześniej, na początku kadencji. Pamiętał drzwi – grubą płytę z solidnego metalu zaizolowaną gumą na brzegach. Otwierały się na labirynt schodów, korytarzy i wind, które prowadziły głęboko pod ziemię. Podróż na dół zajmowała mniej niż dziesięć minut, ale za pierwszym razem wydawała się o wiele dłuższa. Głosy i kroki odbijały się echem w tunelach biegnących pod miejskimi kwartałami.

Zmierzali do obiektu, który pamiętał kulminacyjny etap zimnej wojny. Został zaprojektowany i wybudowany na wypadek ataku atomowego na Kijów. Wiele miast bloku wschodniego wyposażono w takie schrony. Związek Radziecki nie zdołał nigdy wyprodukować samochodu, który mógłby rywalizować na globalnym rynku, ale bunkry budował bezkonkurencyjne. W wypadku Ukrainy dziedzictwo to miało zalety i wady. Schron zbudowano w czasach radzieckich, Ukraina musiała więc ponosić tylko koszty jego utrzymania, a nie budowy. Minusem było to, że bunkier zaprojektowano w Moskwie. Gdzieś w archiwach KGB przetrzymywano zapewne jego plany, zapisane na takie szczegóły jak położenie prezydenckiej toalety.

Kiedy dotarli na miejsce, części doradców Zełenskigo wydało się ono osobiście znajome. Przypominało system kijowskiego metra, które powstało mniej więcej w tym samym czasie i przy wykorzystaniu podobnej technologii. Nawet farba na ścianach miała odcień i fakturę ścian biura naczelnika stacji metra. Bunkier wyglądał jak

wielki tunel podzielony na dwa piętra urządzone w stylu budynku biurowego. Mógł pomieścić setki osób wzdłuż szerokiego korytarza, który sięgał w dal. Po lewej i prawej znajdowały się małe pokoje do snu i pracy – w porównaniu z niektórymi z nich cele więzienne wydawały się przestronne. Za posłania służyły ułożone na podłodze wąskie materace, przypominające te na pryczach używanych podczas dziecięcych obozów letnich. Łazienki i prysznice były wspólne, podobnie jak stołówka mogąca pomieścić kilkadziesiąt osób.

Poza podstawowymi modernizacjami – na przykład płaskim telewizorem na ścianie stołówki – niewiele się zmieniło w bunkrze, odkąd powstał. Żółty blask starych żarówek zastąpiło ostre, białe światło LED-ów i halogenów. Stare drewniane drzwi do pokojów wymieniono na nowe, z taniego plastiku i marnie wygłuszone. Daniłow, jako szef Rady Bezpieczeństwa, przeprowadził tu kontrolę w miesiącach poprzedzających pełnoskalową inwazję i dopilnował, aby połączenia internetowe były odpowiednio zabezpieczone. Odpowiedź na pytanie, które najbardziej dręczyło prezydencki personel, brzmiała: tak, w bunkrze jest wi-fi.

Zelenski był pod wrażeniem. Nie była to Koncza-Zaspa, ale przez lata dość czasu spędził w trasie w różnych norach, aby stać się mniej wybrednym, jeśli chodzi o nocleg, niż przeciętna europejska głowa państwa, a jego kwatera w bunkrze wyglądała całkiem niezłe... na pewno lepiej niż te przeznaczone dla personelu. Łóżko było wąskie, nie szersze niż prycza. Na poziomie niżej miał jednak własny aneks kuchenny z ekspresem do kawy i swój kącik jadalny ze stołem na sześć, może nawet osiem osób. Miał też własną łazienkę z prysznicem, a na podłogach leżały wykładziny, tak jak w jego biurze. W pozostałych częściach bunkra chodziło się po zimnych brązowych płytkach.

Kiedy już się rozejrzeli, Zelenski zebrał doradców w sali konferencyjnej i dał im wybór.

– Możliwe, że od jutra – powiedział – stracimy szansę, by stąd wyjść. – Kijów może zostać otoczony. Rosyjskie oddziały mogą

okrążyć kancelarię i zablokować wyjścia z bunkra. – Każdy z nas ma swoje życie i musi podjąć własną decyzję. Albo zostać, albo udać się w bezpieczniejsze miejsce.

Długoletni przyjaciel prezydenta Dawyd Arachamija nie rozumiał wyboru, jaki postawił przed nimi Zełenski, nie rozumiał, z czym będzie się wiązało pozostanie. Później wspominał, że cała ta rozmowa była jak sen. Kiedy się skończyła, przeszedł do innego pomieszczenia i zadzwonił do żony.

– Odpowiedziała mi bardzo wyraźnie, chyba nawet z nutą humoru – zwierzał się później na łamach „The Washington Post”. – Wolała powiedzieć naszym dzieciom raz, że jestem bohaterem, zamiast mówić im wiele razy, że jestem dezerterem².

Kiedy tego popołudnia wrócili na górę, Zełenski i Jermak natknęli się na korytarzach na tłumy żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym. Nie istniały żadne procedury na wypadek oblężenia kancelarii prezydenta, ochrona musiała więc improwizować: wejścia barykadowano wszystkim, co wpadło w ręce. Worki z piaskiem zakrywały okna. Pod jedną z bram zaparkowano starą furgonetkę i obłożono ją minami, aby wybuchła, gdyby ktoś próbował ją przesunąć. Część umocnień wyglądała jak góry śmieci. Wejście od strony Bankowej zablokowano biurkiem, dwoma stojakami na rowery i kilkoma metalowymi tarczami ochronnymi – wszystko to nie dawało nadziei, że odeprze pocisk czy choćby nawet mocne pchnięcie. W najlepszym razie mogło przesłonić atakującemu widok na budynek. Nic innego jednak nie mieli.

Ochroniarze otworzyli sejfy na broń i rozdali karabiny Zełenskiemu i jego doradcom. Większość nie miała pojęcia, jak się nimi posługiwać. Do tych nielicznych, którzy wiedzieli, należał Ołeksij Arestowycz, rzecznik prezydenta, który służył kiedyś w ukraińskim wywiadzie wojskowym.

– To było szaleństwo – powiedział mi. – Automaty dla wszystkich.

Stos karabinów leżący na podłodze obok kamizelek kuloodpornych nie pomógł w hamowaniu paniki szerzącej się wśród personelu³. Ludzie tłoczyli się w biurach, biegali po korytarzach, próbując zorientować się, co się dzieje na zewnątrz, jak daleko posunęli się Rosjanie i czy Ukraina ma zasoby, aby ich powstrzymać. W pokojach huczało od plotek znalezionych w mediach społecznościowych, które mieszały się ze strzępami informacji napływającymi ze źródeł wojskowych i z zagranicznych agencji wywiadowczych. Uparcie powtarzało się zwłaszcza ostrzeżenie sugerujące, że oddział rosyjskich spadochroniarzy może w każdej chwili wylądować w sercu stolicy.

– Nie było żadnych linii obrony, ani jednego betonowego bloku, ani jednej pułapki na czołgi na ulicach. Nic. – Tak opisał sytuację w połowie miasta Arestowycz. Jako rzecznik wojenny prezydenta to on musiał pojawiać się w pokoju prasowym i zapewniać opinię publiczną, że wszystko jest pod kontrolą, że sfrustrowani Rosjanie popełnili fatalny błąd i wkrótce zostaną odparci i upokorzeni. – Byłem jak narodowy lek uspokajający – dodał.

Pasowała do niego ta rola. Przez ponad dekadę był aktorem teatru Czarny Kwadrat w Kijowie, znanego z improwizowanych produkcji. Miał wygląd i manierę tajnego agenta, a także łagodny, kojący głos. Ten głos szybko stał się symbolem spokoju, którym ekipa Zełenskiego starała się przykryć przerażające wydarzenia rozgrywające się wokół.

– Jedno musicie zrozumieć – zwrócił się Arestowycz do obywateli Ukrainy podczas kolejnego briefingu prasowego tego dnia. – Dwieście tysięcy wojska, które Putin zgromadził przy granicy z Ukrainą, nie wystarczy, by zaatakować i okupować kraj. Mogą liczyć tylko na panikę. – Tymczasem panika opanowała Kijów. Mer oceni potem, że połowa mieszkańców, prawie dwa miliony osób, uciekła z miasta. Ci, którzy nie mogli albo nie chcieli uciec, szukali schronienia w systemie metra, w schronach i piwnicach. Oddziały ukraińskie chodziły po ulicach dzielnicy rządowej od drzwi do drzwi, przetrząsały mieszkania w poszukiwaniu rosyjskich sabotażystów i zachęcały mieszkańców do

ewakuacji. Jeśli przy Bankowej stał samochód z ciemnymi szybami, siły bezpieczeństwa wybijały je, by przeszukać pojazd pod kątem materiałów wybuchowych i broni.

Niezależnie od tego, jaką pewnością siebie emanowali na pozór prezydent i jego rzecznicy, w duchu przygotowywali się na najgorsze. Andrij Smyrnów, jeden z doradców prawnych Zełenskiego, ostrzegł prezydenta, że siły rosyjskie mogą przejąć system informatyczny ukraińskiego sądownictwa i zacząć publikować ukazy legitymizujące okupację lub podważające autorytet prezydenta. Aby temu zapobiec, Smyrnów i oficer sił bezpieczeństwa pobiegli do budynku sądu w centrum Kijowa, wyważyli drzwi i wyrwali kable z serwerów komputerowych – był to sądowy ekwiwalent wysadzenia mostu, aby spowolnić postępy wrogich czołgów⁴.

– Z punktu widzenia poszanowania trójpodziału władzy zapewne nie należało tego robić – wyznał potem Smyrnów – ale to były wyjątkowe okoliczności.

Na rozkaz prezydenta siły wojskowe i policyjne w Kijowie zaczęły opróżniać arsenały i rozdawać broń mieszkańcom. Miasto miało być gotowe na wojnę partyzancką. Dowódcy obawiali się też, że zasoby te mogą wpaść w ręce wroga.

– Gdybyśmy tej broni nie rozdali – powiedział Denys Monastyrski, minister spraw wewnętrznych – Rosjanie przechwyciliby ją w całości od razu. – Faktycznie arsenał na północnych przedmieściach Kijowa został opróżniony, kiedy siły rosyjskie zbliżyły się do jego granic.

Po drugiej stronie miasta, trzy kilometry na zachód od Bankowej, w powietrze wzbily się kłęby dymu z palenisk, które rozgorzały na dziedzińcach Ministerstwa Obrony i Sztabu Generalnego⁵. Z samej góry przyszedł rozkaz zniszczenia poufnych dokumentów przechowywanych w kompleksie neoklasycystycznych budynków pomalowanych na odcień pastelowego błękitu. Jedynym sposobem na pozbycie się tak wielu teczek w kilka godzin było ich spalenie. Nie było żadnych procedur ani wyposażenia na taką okoliczność. Wierchuszka nie

spodziewała się, że Rosjanie rzucą się na Kijów od razu pierwszego dnia pełnoskalowej inwazji. Teraz dopiero przyszło wszystkim do głowy, że gabinety mogą wkrótce zostać przejęte wraz z zasobami i archiwami. W całym kompleksie zespoły urzędników i żołnierzy opróżniały szafki, przesypywały ich zawartość do kartonów i wynosiły ją na podwórze, gdzie ogniska rozpalano na bruku. Przez resztę dnia dym wpadał do środka przez okna ministerstwa, a popiół wirował w powietrzu niczym jesienne liście, większe skrawki nosiły jeszcze słabe odbicia tajnych wiadomości.

Minister obrony Ołeksij Reznikow biegał w tym czasie po mieście w otoczeniu ochrony, będąc cały czas w bliskim kontakcie z kancelarią prezydenta.

– Ze względów bezpieczeństwa nie mogłem przebywać długo w jednym miejscu. Po Kijowie krążyły grupy wywiadowcze i sabotażyści. Wszyscy to wiedzieliśmy.

Grupy te funkcjonowały jako uśpione komórki wroga, składały się z przedstawicieli rosyjskich sił specjalnych i ich miejscowych współpracowników. Zełenski i jego ludzie wierzyli, że wielu z nich przyjechało do Kijowa dużo wcześniej, by przeprowadzić rekonesans i ukryć broń na terenie miasta.

– Już rok temu ci ludzie wynajmowali mieszkania w wielu miejscach, wynajmowali domy – powiedział Zełenski. – Mogli rozpocząć pracę na rzecz okupanta.

Tego popołudnia do Zełenskigo zaczęły docierać raporty na ten temat z różnych źródeł. Tworzyły wrażenie, że wróg już jest w stolicy i się zbliża. To mógł być ich cel, powiedział Reznikow. Nawet gdyby nie zdołali zabić czy schwytać Zełenskigo, sabotażyści mogli próbować wzbudzić w nim panikę i skłonić go w ten sposób do ucieczki.

– Rosjanie chcieli wypchnąć prezydenta z Kijowa. Testowali naszą wytrzymałość.

W pewnym momencie seria pocisków trafiła w północną fasadę siedziby Ministerstwa Obrony, szkło z okien posypało się na parkiet.

Ogień dochodził z apartamentowców Manhattan City – trzech wieżowców w trakcie budowy, które znajdowały się po drugiej stronie torów kolejowych. Nie były one strzeżone. Każdy mógł wejść na teren budowy i wspiąć się po schodach na wyższe piętra, by znaleźć odpowiednie stanowisko dla snajpera albo operatora karabinu maszynowego z czystą linią rażenia w Ministerstwo Obrony. Kiedy rozległy się strzały, personel zanurkował pod biurka i ściany. Kilkoro oficerów chwyciło za kałasznikowy i odpowiedziało ogniem w kierunku wieżowców.

– Krzyczałam do nich: otwórzcie chociaż okna! – wspomina Ludmyła Dołhonowska, która bała się, że lutowy wiatr zawieje do środka odłamki szkła. Przez kilka minut kule świstały ponad należącym do ministerstwa stadionem piłkarskim. Pobliska siedziba Ministerstwa Infrastruktury przy alei Zwycięstwa⁶ również znalazła się na linii ognia. Oberwała kilkoma zbłąkanymi seriami, które rozbiły okna na trzecim i czwartym piętrze. Nikt nie został ranny. Ukraińskie siły specjalne przeszukały potem Manhattan City, lecz nie znalazły żadnego śladu rosyjskich sabotażystów ani ich pozycji strzeleckich. Incydent spotęgował jednak panikę w Kijowie.

Doniesienia o strzelaninach z rosyjskimi agentami niedaleko centrum pojawiały się w mediach społecznościowych przez cały dzień. Autor jednego z nich utrzymywał, że samotny strzelec otworzył ogień do żołnierzy przed stacją metra. Inny twierdził, że furgonetka pełna sabotażystów została kulami rozniesiona w strzępy na obrzeżach centrum. Choć w tamtym czasie wypadków tych nie dało się potwierdzić ani też właściwie zbadać, ochrona prezydenta nie zamierzała ryzykować. Wojsko również. Kiedy nastął drugi dzień inwazji, ukraińskie siły zbrojne zamieściły na swojej stronie na Facebooku komunikat, w którym poinformowały mieszkańców Kijowa, że oddziały wroga wkroczyły już do miasta. „Róbcie koktajle Mołotowa – nakazywało oświadczenie. – Zneutralizujcie okupantów!”

Okolo południa, mniej więcej w siódmej godzinie pełnoskalowej inwazji, początkowy szok Zełenskiego osłabł i prezydent zaczął lepiej pojmować, jakiej roli wymaga od niego czas wojny. Krótka kariera polityka nie mogła go przygotować do tej chwili, ale na jego korzyść zadziałała intuicja aktora. Był elastyczny, nauczył się nie tracić spokoju pod ostrzałem spojrzeń licznej publiczności. Teraz zrozumiał, że jego publicznością jest większość świata, cała Ukraina, wszyscy, których znał i których miał jeszcze poznać. Gdyby uległ panice i oddał stolicę Rosjanom, hańba towarzyszyłaby mu do końca życia. Obawa przed takim upokorzeniem wydawała się przeważać nad obawą przed śmiercią lub pojmaniem do niewoli podczas obrony kraju. Tak wspomina, jak tamtego dnia zagrzewał się do działania:

– Wszyscy patrzą – powtarzał sobie. – Jesteś symbolem. Musisz zachowywać się tak, jak zachowywać się powinna głowa państwa.

Dzień mijał, a doradcy widzieli, jak Zełenski się usztywnia. Jego komunikaty stały się bardziej skrótowe, zaczął wydawać serie rozkazów z bunkra i ze swojego biura na trzecim piętrze. Większość decyzji nie bazowała na doświadczeniu czy też planach. Ani doświadczenie, ani plany nie mogły mu tego dnia pomagać, ale chyba mu to nie przeszkadzało. Przejście ze świata komedii na fotel prezydenta nie udało się, gdyby nie miał daru emanowania pewnością siebie, nawet kiedy mu jej brakowało. Przełączył więc tę umiejętność na najwyższe obroty i przeistoczył się, jak opisał to jeden z jego doradców, w „generator decyzji”.

– Rosjanom nie poszczęściło się z wielu powodów – powiedział Mychajło Podolak, który był z Zełenskim tamtego dnia. – To był jeden z nich.

Atakując Ukrainę z wielu różnych kierunków, zakładali zapewne, że struktura dowodzenia w Kijowie się załamie, przeciążona ilością zagrożeń wymagających natychmiastowej odpowiedzi. Każda chwila słabości liderów, każda krótka przerwa na podsumowanie opcji mogła pozostawić dowódców frontowych samym sobie, co wywołałoby falę

dezercji. Na łączach nie zapadała jednak cisza, kancelaria szybko zaczęła wydawać rozkazy. Niektóre zemszczą się po jakimś czasie w tragiczny sposób, jak ukaz Zełenskiego, by wręczyć broń niemal każdemu dorosłemu z ukraińskim paszportem i palcem spustowym. Zalew broni szybko zamienił niektóre części Kijowa w strzelnice.

Niemniej w tych pierwszych godzinach pełnoskalowej wojny, kiedy ważyło się przetrwanie Ukrainy jako państwa, Zełenski nie miał czasu oceniać ryzyka ani analizować danych i nie potrzebował wiele, aby wyrzucać z siebie rozkazy standardowo okraszane przekleństwami.

– Ludzie na wszystkich szczeblach władzy nie mieli czasu na wątpliwości – wspomina Podolak.

Podczas pierwszej z wielu rozmów z gubernatorami obwodów niektórzy z nich wydawali się otepiali ze strachu, nie potrafili odpowiedzieć na pytania na temat sytuacji w obwodach, które stawiał im Zełenski, ani nawet ich zrozumieć. Trudno było im się dziwić. Istniało ryzyko, że rosyjskie natarcie zaleje część regionów na przestrzeni godzin, gubernatorzy myśleli więc o tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że zostaną zabici, jeśli nie uciekną albo nie zgodzą się na kolaborację. Na ten widok Zełenski wydał stanowczy, choć mało precyzyjny rozkaz: zostać na stanowiskach, koordynować działania z armią i reagować na potrzeby obywateli.

– To uspokoiło ludzi – dodaje Podolak. – Przestali myśleć i zaczęli działać⁷.

Tuż po rozmowie zaczęły sływać raporty o rosyjskim ataku z powietrza na obrzeżach Kijowa, piętnaście kilometrów na północny zachód od kancelarii prezydenta. Zełenski rozpoznał cel – duże lotnisko w mieście Hostomel. Kilka tygodni wcześniej otrzymał ostrzeżenie od CIA, które postrzegало to miejsce jako jeden z najbardziej wrażliwych punktów ukraińskiej obrony. William Burns, dyrektor CIA, który odwiedził Kijów w połowie stycznia⁸, aby doręczyć najnowsze wiadomości wywiadowcze na temat wojennych planów Putina,

wyjaśnił, że rosyjska strategia opiera się na zrzuceniu na Hostomel sił dość licznych, by zajęły Kijów. Nie przekonało to Zełenskigo. Jego zdaniem Rosjanom brakowało ludzi, aby zająć czteromilionowe miasto. Zakładał, że większa część obywateli powstanie i stawi opór. Poza tym amerykańskie dane wywiadowcze wydały mu się nierozstrzygające. Wyglądało to na jedną z opcji, być może najagresywniejszą, ale nie najbardziej prawdopodobną. Sam Putin nazywał Kijów „matką rosyjskich miast”, kolebką cywilizacji, której obronę deklarował. Tylko szaleństwo mogło skłonić go do ataku na to miasto, do bombardowania jego kościołów i niewolenia jego obywateli. Przez lata we wszystkich kontaktach, w rozmowach telefonicznych, na szczytach i w negocjacjach pokojowych Putin wydawał się Zełenskiemu zimny i wyrachowany, zgorzkniały i niezadowolony, ale nie szalony, nie zdolny do ludobójstwa.

– Jak uwierzyć w coś takiego? – zapytał później dziennikarza. – Że będą torturować ludzi, że to będzie ich cel? Nikt nie wierzył, że tak to będzie wyglądać⁹.

Okazało się jednak, że to CIA miała rację, przynajmniej w kwestii głównego kierunku ataku. Około jedenastej przed południem formacja złożona z co najmniej trzydziestu rosyjskich helikopterów bojowych przeleciała nad zbiornikiem wodnym na północ od Kijowa na tyle nisko, by zmylić systemy ochrony przeciwlotniczej. Ukraińcy zestrzelili jeden z helikopterów, kiedy zbliżał się do lądowania w Hostomlu¹⁰. Innym udało się usiąść i zostawić na ziemi kilkuset rosyjskich żołnierzy, którzy przypuścili szturm. Kiedy rozpoczęła się bitwa, Zełenski i jego doradcy zgromadzili się wokół laptopów i telefonów, by oglądać zdjęcia i wiadomości napływające z Hostomla. Reakcja prezydenta zaskoczyła część jego doradców. Nigdy jeszcze nie widzieli, by wpadł w taką wściekłość¹¹.

– Wydawał wyjątkowo srogie rozkazy – wspominał Podolak. – Nie okazywać litości. Wykorzystać wszelką dostępną broń, aby zmieść z powierzchni ziemi wszystko, co rosyjskie.

Ukraińcy nie mieli jednak na miejscu sił zdolnych do obrony lotniska. Pomimo ostrzeżeń CIA rosyjski atak na Hostomel zaskoczył ukraińską armię. Oddziały stacjonujące w okolicy zostały przerzucane na front wschodni, gdzie spodziewano się inwazji. Tym, którzy pozostali na lotnisku, po kilku godzinach wyczerpała się amunicja i nie mieli wyboru – musieli się wycofywać pod ciężkim ostrzałem. Po przejęciu pasów startowych rosyjscy komandosi zaczęli przygotowywać się na przybycie posiłków w wielkich wojskowych samolotach transportowych, pełnych żołnierzy i wozów pancernych.

– Posadzą dziesięć tych samolotów – powiedział Monastyrski, minister spraw wewnętrznych – i nagle będziemy mieć pięć tysięcy rosyjskich żołnierzy maszerujących ulicami Kijowa.

Kiedy tej nocy toczyła się bitwa o lotnisko, Zełenski wziął zdalnie udział w nadzwyczajnym szczycie przywódców europejskich¹². Część połączyła się przez internet i na ekranach komputerów pojawiły się szachownice zmartwionych twarzy. Prezydenci Polski i Litwy odwiedzili Kijów dzień przed inwazją, aby dać dowód solidarności z Zełenskim. Teraz próbowali zmobilizować kolegów i koleżanki do działania, lecz nie udało się osiągnąć porozumienia co do tego, na jaką karę zasługuje Rosja. Najstraszniejszy akt militarnej agresji w Europie od czasów II wojny światowej nie wystarczył, aby zjednoczyć Unię Europejską.

Przywódcy Niemiec, Austrii i Węgier – by wymienić kilku – nie chcieli zrywać więzi z rosyjskim systemem bankowym, ponieważ osłabiłoby to handel ropą i gazem. Olaf Scholz, od niespełna trzech miesięcy kanclerz Niemiec, posunął się na tyle daleko, by zasugerować, że zanim uzgodni się nowe sankcje, Europa powinna implementować te ustalone jeszcze przed inwazją. Takie stanowisko zakładało, że nic się nie zmieniło. Podczas debaty nie poczyniono żadnych postępów, przestrzegano zwyczajowych zasad porządku i spokoju. Nikt nie odwoływał się do sumień w chwili, kiedy wydawało się to konieczne, przynajmniej dopóki nie wdzwonił się Zełenski. Błady i zmęczony,

z cieniem wojennego zarostu na brodzie, siedział przy wąskim stole w swoim bunkrze, który wkrótce miał się stać centrum jego życia. Nie pokładał wielkiej wiary w to, że zagraniczni partnerzy go uratują, i nie zamierzał tego pesymizmu ukrywać.

– Być może po raz ostatni widzicie mnie żywego¹³ – powiedział.

Zamiast jednak prosić o ratunek, zażądał odpowiedzi na pytanie, które Ukraina zadawała od dekad: czy kiedykolwiek wolno jej będzie wstąpić do Unii Europejskiej? Czy wolno jej będzie wstąpić do NATO? Żaden z przywódców nie odpowiedział wprost. Jego przemowa, która trwała zaledwie pięć minut, wywarła jednak większy wpływ na umysły przywódców niż wiele miesięcy, ba, wiele lat rozmów o Rosji w Brukseli. Teraz, na żywo, widzieli prezydenta europejskiego, demokratycznego kraju, który ukrywał się w bunkrze, przygotowywał się na śmierć i kapitulację swojej ojczyzny, a to wszystko z powodu imperialnych ambicji wschodniego sąsiada. Niekończące się debaty o zagrożeniu, jakie stanowiła Rosja dla Europy, nagle przestały się wydawać teoretyczne. Nie rozmawiano już o odstraszeniu ani o politycznej grze na przetrzymanie, ponieważ zbrodnia agresji rozgrywała się na ich oczach. Widzieli jej ofiarę proszącą o pomoc. Widzieli, że Putin, w dwudziestym drugim roku swoich rządów, rozpętał największą od pokoleń europejską wojnę. Wydał swoim oddziałom rozkaz zabicia lub pojmania Zełenskiego tylko dlatego, że ten nie chciał się poddać ani uciekać. Zełenski uświadomił to Europejczykom. Następnie rozłączył się i wrócił na górę, by wygłosić kolejną odezwę do narodu z pokoju prasowego. Zachodni przywódcy, z którymi rozmawiał tego dnia, nie wyrazili chęci, by stanąć u boku Ukrainy i walczyć.

– Musimy sami bronić naszego kraju¹⁴ – wygłosił z mównicy. Nie oznaczało to jednak, że naród ukraiński powinien się bać lub poddać. – Nie boimy się. Nie boimy się Rosji.

Oficjalnie administracja nie okazywała strachu. Wszyscy go jednak odczuli w kolejnych godzinach. Denys Monastyrski pozostał nad ziemią, przemieszczał się po dzielnicę rządowej, by koordynować

pracę policji i Gwardii Narodowej. Drugiego dnia pełnoskalowej inwazji, kiedy wybuchły walki na przedmieściach Kijowa, minister nagrał na swojej komórce pierwszą z dwóch wiadomości pożegnalnych dla rodziny. Chciał, by były gotowe do wysyłki, kiedy stanie się jasne, że zostanie zabity.

– Moje promyczki – powiedział do kamery. – Nagranie będzie krótkie. Postanowiłem zostać w mieście. – Gdyby pojмали go Rosjanie, jego podwładni mieli rozkaz ewakuować się z Kijowa i ustanowić punkt dowodzenia w zachodniej Ukrainie, dokąd uciekła już jego rodzina. – Nie obawiajcie się – kontynuował. – Bronimy Kijowa na wszelkie sposoby. Jesteśmy gotowi na każdy scenariusz, nawet ten najtragiczniejszy. Będziemy walczyć. – Głos uwiązał mu w gardle, zanim zwrócił się do swoich dzieci. – Musicie żyć dalej, w zgodzie z własnym sumieniem. Sumieniem, które można znaleźć tylko wewnątrz siebie, w głębi własnego serca. Kocham was. – Zanim wyłączył nagrywanie, zmusił się do uśmiechu. – Jestem gotowy¹⁵ – dodał.

W tym samym czasie na Bankowej Zełenski wygłosił podobne przemówienie do całej Ukrainy. Postanowił tej nocy opuścić względnie bezpieczną kancelarię po raz pierwszy od rozpoczęcia inwazji. Ochroniarze oświetlali mu drogę latarkami, kiedy kroczył przez ciemne korytarze i mijał sklecone naprędce barykady przy drzwiach wiodących na dziedziniec. Ochroniarze w hełmach i z ostrą bronią otoczyli go, przyglądali się oknom i dachom. Jeden z doradców doświadczył przerażającego uczucia obnażenia się przed rosyjskimi bombowcami na niebie, potem powiedział mi, że czuł się tak, „jakbyśmy stali tam nady”. Oddechy skraplały się w świetle latarni, które oblewały twarze pomarańczową łuną. Zełenski wziął telefon do lewej ręki i nacisnął nagrywanie. Czterech najbliższych współpracowników stanęło za nim, wypełniając kadr. Prezydent wymienił wszystkich, po czym wygłosił kwestię, która tej nocy odbiła się szerokim echem na całym świecie.

– Wszyscy tutaj jesteśmy – powiedział. – Bronimy naszej niepodległości, naszego kraju. I tak będzie dalej¹⁶.